

## Wstęp

# ŚMIERĆ ZWARŁA SIĘ Z ŻYCIEM

Gdy do staropolskiego skupiska ludzi zaczynały dochodzić głuche odgłosy wojny, gdy nad dachami gęstej zabudowy wykwiłała ruda kita ognia, gdy przybierała rzeka – na mieszkańców padał strach. Wielkoki, popychający do działania lub obezwładniający, ale przecież łączący związanych wspólnotą losu czy jednością przeciwdziałania. Strach przed kościstą ręką śmierci zostawiającej czarne plamy na ciele był inny. Dzielił. Nie tylko na zdrowych i chorych. Dotknięty zarazą stawał się niebezpieczny, swój zamieniał się w obcego, ktoś najbliższy zaczynał zagrażać życiu. Przybysza podejrzewano, że świadomie lub bezwiednie niesie w zanadrzu śmierć. Komplikowały się sprawy zwyczajne, rosły napięcia, wynaturzały się relacje między ludźmi. Nieufność utrudniała kontakty, lęk rwał więzi społeczne, instynkt samozachowawczy zmagał się z gotowością ratowania drugich.

Czas Apokalipsy zmuszał niejednokrotnie przeciętnych ludzi do wybierania między heroizmem a tchórzostwem. Wielu pracowało usilnie nad przekonaniem siebie co do słuszności łatwiejszej decyzji, jaką powzięli. Nieliczni podejmowali ryzyko bezpośredniej pracy wśród zarażonych. Byli bowiem tacy, co mimo wzburzającego chaosu, usiłowali sprostać próbie najwyższej. Pętani strachem przed obecną w powietrzu i na ziemi śmiercią, przeciwstawiali się jednak na wiele sposobów jej tyranii. Wprost osiągając niewiele, zmagali się przecież o prawo do nadziei, broniąc wewnętrznej niepodległości. W sytuacjach granicznych

sprawdzały się przeorywane udręką charaktery. Po stokroć łatwiej było uciekać od morowego ogniska, niż zajmować się jego gaszeniem. Odgradzanie się od umierających przestrzeni nie było przecież równoznaczne z osiągnięciem przystani życia. Paliło się w wielu miejscach, a migrujący sami nieświadomie roznosili płomienie. Nie wiedzieli, jak to się dzieje, i tym większy ogarniał ich lęk.

Jakiż jest jednak sens zajmowania się ową posępną tematyką? Taki sam jak sens poznawania człowieka we wszystkich sytuacjach współokreślających jego kondycję. Kształtują ją również i nasze współczesne fobie i stresy; tworzyły ją także dawne lęki i trwogi. Uzyskiwanie dystansu wobec własnych napięć poprzez rozpoznanie cudzych sprawdza się nawet w spotkaniach z ludźmi innych epok. Podróżowanie do nich nie ma być wszakże wyprawą po wstrząsy i okropności. Zagarniętym morową śmiercią w którymkolwiek momencie życia, wielu setkom tysięcy i każdemu z nich, przeważnie bezimiennych, należy się przede wszystkim znak uszanowania, rodzaj epitafrum. Bez tanich pochwał, z uznaniem dla wszelkiego przełamywania strachu. Z celami poznawczymi najpierw. Mowa o autorskich zamiarach, nie o efektach, których ocena należy do Czytelnika.

Historia jako owo Norwidowskie „dziś, tylko cokolwiek dalej” to w tym przypadku nie głównie sprawa pewnych podobieństw, dostrzegalnych choćby między społecznymi reakcjami na nosicieli choroby AIDS obecnie, a dżumy ongiś. Analogie w postawach lękowych wobec groźby zagłady morowej, atomowej czy ekologicznej, to nie jedyne obszary duchowej styczności odległych pokoleń. Wszyscy mamy coś wspólnego z tamtą mroczną historią. Wyniszczenie części populacji oznacza nie tylko straty demograficzne i upadek gospodarczy oraz jego konsekwencje polityczne. Wraz z ludźmi obumierała kultura. W niebyt zapadały się rozpoczęte dzieła, ustawały zamiary. Cała twórczość istot ocalałych z gehenny została także naznaczona – w myśli, sztuce, bytowaniu. Barok z jego witalną siłą i obsesją śmierci równocześnie, to nie wyłącznie rezultat kontrreformacji i sięgania po rozwielenione w średniowieczu wątki. Ucisku doświadczeń osobistych, znanych

większości pokoleń z autopsji, nie dało się zapomnieć. Rany psychiczne zablizniały się powoli. Zwłaszcza że odnawiały je nie tylko nawroty morowego powietrza. Liczebność ofiar potęgowała odwieczną dialektykę życia i umierania. Tamta przeszłość dotyka teraźniejszości w sensie jeszcze bardziej podstawowym, niż ślady szczyby kultury. Dosięga bowiem egzystencji osobniczej. Wielu, chyba większość z nas, istnieje również dlatego, iż wtedy tak wielu, zwłaszcza młodych, przestawało żyć przedwcześnie, że stąd poukładały się nowe matrymonialne konfiguracje. Te, z których wywodzą się nasi przodkowie.

W obrębie jednej formacji kulturowej postawy duchowe człowieka wobec elementarnych zagrożeń, przerastających jednostkowe i zbiorowe możliwości zapanowania nad kataklizmem, są niezwykle do siebie podobne, mimo różnic miejsca i czasu. By jednak nie przesądzać tego z góry, ani nie tworzyć w oparciu tylko o zastaną literaturę wtórnego obrazu, rozlokowanego wszędzie po kawałku, przyjęto następujące założenia i procedurę: przebadać najbardziej bezpośrednio, a więc w źródłowym zapisie, ludzkie reakcje na zagrożenie w jednym większym, czyli miejskim skupisku, skoro takowe stawały się ogniskami dżumy. Dalej – wykorzystać publikacje dotyczące Polski, a częściowo i innych krajów. W ten sposób spodziewano się uniknąć zarówno bezosobowej ogólnikowości ilustrowanej mozaiką przykładów, jak i partykularyzmu. Ukazać całość i przybliżyć ją w kadrze. Nastawienie na typologię, a nie statystykę zachowań, pozwala pominąć wywody o stopniu reprezentatywności wybranego środowiska. Penetracji źródłowej poddano archiwa krakowskie. Księgi miejskie, kroniki klasztorne, drukowane wskazania medyków, okolicznościowe pieśni, kazania do zagrożonych pozwalają poznać z bliska nie tylko mieszkańców jednego miasta, dotkniętych epidemią, porażonych trwogą, a przecież walczących zarówno o życie, jak i swoje człowieczeństwo. O prawo do nadziei. O ocalenie doczesne i wieczne. O prolongatę tego żywota, przed uzyskaniem tamtego.

Konfrontacja źródeł krakowskich i literatury dotyczącej Gdańska, Lublina, Lwowa, Warszawy, Wilna, Wrocławia oraz pomniejszych miast i wsi (bardziej od strony postaw, niż masy faktograficznej,

która zmieniałaby profil tematu i przytłoczyła tekst), umożliwia wzajemne uzupełnienie obrazu. Wydarzenia krakowskie pozwalają lepiej wnikać w to, co działo się gdzie indziej, i odwrotnie. W mrowisku umownych znaków, zapisanych ręką czy odbitych czcionką, przetrwały opisy losów ludzi – zmagających się, więc tym bliższych.

Gdzież im pisać i jakim nagrobki sposobem?  
Ziemia człekowi, a czas wszystkim grobom grobem.  
Tu wielkich bohaterów czyny, miasta, zamki.  
Bez pamięci na przyszłe zginęły potomki.  
Co im jeszcze wiecznego nie da uznać moru?  
Papier. Tedy marna rzecz trwalsza od marmoru?<sup>1</sup>

Tak, ale cóż po trwałości nierozpoznanej, uśpionej na archiwalnych półkach? Czas przedstawić układ materiału.

Brak znajomości szlaków ludobójczej bakterii dżumy sprzyjał błędom rozpoznania, profilaktyki i terapii. Uczona medycyna w nie najlepszym towarzystwie astrologii brnęła w zaułki spekulacji. Cyrulicy i znachorzy jako rzemieślnicy i partacze zdrowia, ratowali zaledwie niektórych. Obfity, a mało skuteczny arsenał środków przeciw zarazie odpowiadał stanowi wiedzy. Prehistorię zbiorowych postaw wobec zadżumionych kształtowało współistnienie zdrowych oraz trędowatych, a także chorych wenerycznie. Strach przed zarażonymi, jak kiedyś przed mieszkańcami leprozoriów, obracał się łatwo w agresję. Krag podejrzanych rozszerzał się najłatwiej na posługaczy śmierci – grabarzy. Problem kozła ofiarnego zamyka tematykę I rozdziału. W II rozdziale przedstawiono zmagania mieszkańców Krakowa z powracającą falą epidemii. Ramy czasowe książki określiły nie tylko wieki panoszenia się dżumy w Europie, od jej nagłego pojawienia się w połowie XIV w. po równie mało do dziś wyjaśnione wycofanie się z tego kontynentu w I. połowie XVIII w. Lapidarność średniowiecznych przekazów źródłowych, przeważnie jedynie kronikarskich wzmianek, zestawiona z bogactwem dokumentacji narastającej wyraźnie od XVI w. nie pozwala na równomierne opracowanie materii. Słuszniej zatem było

skoncentrować osnowę pracy na wiekach XVI–XVIII, a w narracji cofnąć się, gdzie trzeba i można, do wcześniejszych wydarzeń na miarę ich dostępności.

Próby zapanowania nad nieuchwytnym, a śmiercionośnym żywiołem, mają swą historię utrwaloną w annałach medycyny i ratownictwa wszelkiego. Wobec choroby wyniszczającej zarówno ciało, jak i psychikę, mobilizowano także siły duchowe. Praca księży polegała nie tylko na połączonym z najwyższym ryzykiem udzielaniu sakramentów i odprawianiu błagalnych nabożeństw. Sobie i wiernym usiłowali oni odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Wiele się złożyło na traktowanie kataklizmu jako kary za grzechy. Rozbrzmiewały wnętrza kościołów śpiewem suplikacji, płonęły świece przed obrazami orędowników. Czy pobożność nie skłaniała do bierności? A gromadzenie się na modlitwę, czy nie sprzyjało przekazywaniu zarazy? Jak się miały postawy religijne do magicznych? Problemom tym poświęcony został rozdział III. Ostatni, IV rozdział obejmuje na kilku przykładach losy ludzi porzucających zagrożone okolice. Nie mogli całkowicie uciec od zarazy, a tym bardziej od lęku, jaki nosili w sobie. U obcych, podobnie jak we własnym domu, także nastawała pora sporządzania testamentu.

Wyłącznie chronologiczny lub tylko rzeczowy układ materiału okazał się alternatywą zbędną. Trzymanie się jedynie następstwa czasowego łatwo wprawiłoby tekst w kronikarski rytm powtarzających się cykli wydarzeń. Ujęcie wyłącznie tematyczne rozciąłoby splątany wątek współzależnych spraw na poszczególne nitki, ukazywane potem w pęczkach podług rozmiarów i kolorów. Przy pierwszej wersji unika się wielokrotnego powracania do tych samych dat, przy drugim – chodzenia wzdłuż tych samych wątków. Przyjęto – przyglądając się zresztą, kompozycji cytowanej literatury – system mieszany. Strona wydarzeniowa potraktowana została całościowo (rozdziały II i IV), bez sztucznego parcelowania, problemy zaś wspólne i na tyle szerokie, że ich omawianie przy okazji tej czy innej epidemii rozsadałoby narrację, zatrzymując bieg wypadków, wymagały ujęcia przedmiotowego (rozdziały I i III).

„Przyrodzony sposób umierania człowieka, aby jak lampa, wytrawwszy w sobie wrodzoną żywiczą wilgotność, ugasił [...] miałby być” – napisał w 1622 r. medyk krakowski Jan Innocenty Petrycy. Umieramy jednak częściej – dodawał – śmiercią gwałtowną; przez gorączki, suchoty, puchliny. Albo od miecza i w wypadkach. „Na ostatek zarazą i powietrzem, choć nie częstym, ale jako wielką kupą ludzi” ubywa! Jakby „nie dosyć było na człowieka tak wiele przypadków, chorób, gadzin, uroków, czarów, już i cień (jak piszą), i wiatr sam człowieka zabija”<sup>2</sup>.

W melancholijnej refleksji człowieka walczącego z morową plagą pobrzmiewa skarga pokolenia. Nie pierwszej i nie ostatniej generacji doświadczającej w dojmujący sposób kruchości ludzkiego bytowania. Własnego i cudzego. Naraz i powszechnie. Przy zachwianiu zwykłego podziału ról, kiedy wobec egzystencjalnego zagrożenia jednych pozostali spokojnie spieszą z pomocą. Im więcej tych pierwszych, im bardziej niebezpieczeństwo grozi wszystkim, tym trudniej utrzymać rozpadający się ład i uchronić społeczność przed destrukcją. Dopóki jednak są ci, co toczą bój o przetrwanie, odparcie, przezwycięzenie, katastrofa nie jest zupełna. Bez względu na moc żywiołu i stopień sukcesu w jego ujarzmianiu. W tym przeświadczeniu powstała ta książka.